

KONRAD KOMORNICZAK

**„PANA OKULARA Z
KANAREM PRZYGODA”**

Pan Okular od dziecka był raczej typem marzyciela niżli formalisty. Spętany pajęczyną codziennych obowiązków starał się je, najlepiej jak tylko mógł, wypełniać. Czynił jednak zadość otaczającej biurokracji, mijającym go ludziom i przede wszystkim zdarzeniom zawsze tylko przy okazji swojej prawdziwej, biegnącej niby to równolegle, a w rzeczywistości prostopadle lub może kuliście wokół osi życia, wyimaginowanej przestrzeni rozmyślań, badań i lęków przed niedopasowaniem. Balansował na krawędzi, przechadzał się po szalach wagi, na których z jednej strony leżała jego cudaczna, opatrzona metalowym krążkiem wokół oka, głowa, z drugiej zaś cały, z krwi może bardziej niż z kości, świat z niebem i ziemią, roślinami i zwierzętami, ludźmi oraz ich radościami i troskami. Nieraz wychylał ramiona wagi mocno na jedną ze stron, bądź to szukając kontaktu z drugim człowiekiem, bądź też z samym sobą. Gra w skrajności była jego ulubioną, gdyż chroniła przed uczuciem bezpłodnego konstansu, w którym to miewał w zwyczaju trwać ślepo wpatrzony w odległy o tysiące kilometrów punkt, głuchy na upomnienia kierowane tak od ludzi jak i od samego siebie.

Zdarzyło mu się raz pewnego, podczas wycieczki do miasta o nazwie wielce nieistotnej, dużego jednak na tyle, iżby pokrywała je sieć trakcji tramwajowej, skorzystać z dostojnie nazwanego środkiem komunikacji publicznej, tramwaju. Z dworca kolejowego, do którego dotarł po całonocnej podróży od razu udał się w poszukiwanie słynnego na cały świat, unikatowego w swojej indywidualności Muzeum Sztuk Fekalnych i Średniowiecznych Gier Zapalczanych, zajmującego swym opisem dwie z okładem strony przewodnika. Jako, że wielce interesował się przemysłem zapalczanym w całości, a i nie stronił od gier, pomyślał, iż tego typu połączenie może dać mu wiele podróżniczej przyjemności oraz rzucić zupełnie nowe światło na wykorzystanie tego równie małego, co niedocenianego przez ludzi przedmiotu. Najbardziej jednak intrygowała go, do czego wstydził się przyznać, rzeczona sztuka fekalna. Od kiedy bowiem po raz pierwszy przeczytał w gazetach o budzącym się trendzie na *real art*, sztukę ze wszech miar odzwierciedlającą nasze życie, zapragnął zobaczyć jak bardzo nie nadaża za zmieniającym się światem. Odwiedził już nawet wystawy paryskich rozmazywaczy baboli na asfalcie, poznał smród społeczeństwa w madryckich uryno-pomnikach. Wyczytał jednak w jednym z pism kulturalnych opinię najbardziej znanego na całym świecie krytyka, że „...dopiero w Muzeum Sztuki Fekalnej człowiek może poprzez *katharsis* dotknąć absolutu i przekonać się o kruchości własnego jestestwa.”

Pouczony zatem przez tubylców wsiadł do tramwaju numer pięć i zajął miejsce w niewygodnym, plastikowym fotelu, z przodu wagonu. Ograniczył tym samym możliwość dostrzeżenia przez współpasażerów mankamentu aparycji, któremu zawdzięczał swój przydomek, używany tak często, iż w zasadzie zastępujący już prawdziwe imię i nazwisko. Uciał tym samym wszelkie możliwe przyszłe rozmowy na ten temat. Oparł się o szybę i razem z tramwajem, ślepo błędząc po skąpanych w deszczu ulicach miasta zapadł w zadumę.

- Bilet do kontroli proszę.

- Słucham?

- Bilecik do kontroli proszę – powtórzył stanowczo kontroler wytrącając do reszty Pana Okulara z tramwajowego letargu.

- Przepraszam, jak pana godność? – zapytał mężczyzna bez mrugnięcia okiem bynajmniej nie dlatego, że w mruganiu przeszkadzał mu metalowy krążek.

- Pytałem czy ma pan bilet – nie ustawał w wysiłkach kontroler. - Józwiak.
- Józwiak co?
- Nazwisko – urwał równie krótką, co głupią rozmowę kanar.
- Mógłby pan powtórzyć jeszcze raz?
- Józwiak. Głuchy pan jest?
- A, nie, nie. Czy mógłby pan powtórzyć to o co pan pytał.
- Czy ma pan bilet?
- Mam, mam. Co tak panu spieszo? A swoją drogą to z tych Józwiaków?
- Z jakich tych? – wybałuszył oczy kontroler. Poproszę pana dowód osobisty.
- Nie bądźmy zaraz tacy oficjalni. Jak ci na imię?
- Miron – uspokoił się nieco nie zdejmując z Okulara podejrzliwego spojrzenia.
- Miron. Wspaniale. Do mnie możesz mówić Pan – uśmiechnął się szeroko mężczyzna, czym na nowo rozsierdził kanara.
- Pan sobie ze mnie kpi. Mieliliśmy po imieniu rozmawiać. Pan mi tu będzie Mironie, Mironku, Mironeczku, a ja do pana dalej przez pan mam mówić. Dostyc tych głupstw i niech pan na boga sobie wyjmie to coś z oka, bo tramwaj przyhamuje i pan mi oko na moich oczach straci. To o czym mówiliśmy?
- Mówiliśmy czy z tych, czy nie z tych?
- Słucham.
- Czy z tych Józwiaków? Tych, co to na Wodnej z Jaskułami na pół pasmanterię mieli?
- Proszę pana. Szczerze wątpię żebyśmy my, w sensie Józwiaków rodu całego, jakkolwiek, kiedykolwiek pasmanterię mieli, a tym bardziej jeszcze, dzielili ją z Jaskułami. Ostatni raz proszę o pokazanie dowodu. W innym wypadku zmuszony będę wezwać służby porządkowe – naburmuszył się nie na żarty kontroler.
- Skąd ta pewność?
- Że wezwę służby?
- Nie. Że nie mieliście pasmanterii. Czy nie wyrażam się jasno Mironie?
- Po pierwsze nie Mironie. Po drugie stąd, że w naszym mieście nie ma, nie było i jak mi bóg miły, nie będzie ulicy Wodnej.
- Hmm...? – zasepił się tym razem Okular, by po krótkiej chwili odzyskać dawną bystrość umysłu. To nawet dobrze, bo potem sklep upadł. Gadali ludzie, że się stary Jaskuła z braku klientów na sznurowadle powiesił, a jak go Józwiak znalazł to go zaraz Jaskułowa o uduszenie posądziła. Nie uwierzysz. Trzydzieści lat się sądzili aż w cholerę jedno po drugim w tych sądach pomarli.
- Da mi pan ten dowód?
- Widzę, że nie przypadła ci do gustu historia.
- Jak najbardziej proszę pana. Jak najbardziej nie przypadła – kanar nie miał już nawet siły, by poprawiać nagminne unikanie przez Okulara formy grzecznościowej.

Rozmowa toczyła się w najlepsze nabierając kolorów wraz z gorejącymi wzburzeniem polikami kontrolera Józwiaka. Tramwaj szybko przemierzał ulicę przewożąc ich przez trzy już blisko przystanki, czego żaden w emocjach dyskusji nie dostrzegł. Trzecim miał być właśnie przystanek przy muzeum, o czym z daleka informował, dopiero co wyłaniający się zza horyzontu, wysoki posąg zapałki w średniowiecznym hełmie z otwartą przyłbicą trzymający na dłoni kupę. Zapałka wydawała się być zachwycona tym faktem. Pociąg sunął po szynach coraz wolniej, a siła

bezwładności podczas hamowania dosłownie zbliżyła do siebie stanowiska zajmowane podczas rozmowy przez obu mężczyzn.

- Jak się miewa żona? Nadal cię zdradza?

- Nie wiem, a wcześniej zdradzała?

- Nie wiem, to ja pytam.

- Dość już tego – wrzasnął kontroler i chwycił Okulara za rękaw płaszcza. – Niech mi pan natychmiast da dowód osobisty albo pokaże bilet, którego, mniemam, pan nie posiada.

- Teraz to ty żartujesz. Mam ci pokazać bilet, którego nie posiadam? Proszę bardzo! – Mężczyzna ostentacyjnie przeszukał kieszenie i zaczął pstrykać pustymi palcami przed oczami kanara. – Jeden. Dwa. Trzy. Tyle mam biletów, których, mniemasz, nie posiadam. Ale dość już tego – strofował się sam widząc, że być może przesadza. - Już panu pokazuję dowód i przepraszam najmocniej za zwłokę.

- Nareszcie. Dziękuję panu – Józwiak odetchnął z ulgą, a z jego twarzy kuliście, poczynając od nosa zaczęła znikać przechodząca już z czerwieni we fiolet, zroszona potem złość.

Koła tramwaju nie kręciły się już prawie wcale, a od przystanku dzieliło ich niecałe pięć metrów. Pan Okular sięgnął po portfel i szybkim, wprawnym ruchem wyciągnął go z tylnej kieszeni spodni. Wyjął dowód osobisty i przykładając powoli głowę do ramienia kanara powiedział głośno.

- Proszę bardzo. Oto mój dowód – po czym zaczął mu szeptać na ucho niemal nie ruszając wargami. – Niech się pan teraz nie odwraca. Nie mogę w to uwierzyć. Tuż za pana plecami siedzi Andżelika Jebś.

Mężczyzna do tej pory zwrócony w stronę drzwi natychmiast przekreślił głowę w kierunku plastikowych siedzeń. Tramwaj zatrzymał się.

- Co też pan mówi? Andżelika Jebś? W naszym tramwaju? Naprawdę!? – dopytywał się rozglądając się nerwowo.

- Jak najpoważniej tam siedzi – odpowiedź nadeszła szybko choć nieco ściszone i rozmywająca się.

- Patrz pan. Takie rzeczy. No gdzie ona? Pan pokaże palcem – coraz bardziej nerwowo zagadywał Józwiak wciąż odwrócony do Okulara plecami. – Gdzie? Gdzie? Kim w ogóle jest ta Andżelika Jebś?! – odwrócił się w poszukiwaniu odpowiedzi, lecz odezwały się do niego już tylko, głośno piszcząc, zamykające się drzwi. Dziwny mężczyzna, w dziwnym płaszczu, z przedziwnym kółkiem na oku szedł chodnikiem wyraźnie zadowolony. Pogwizdywał, kiedy rzucił ostatnie spojrzenie kanarowi. Podniósł rękę w geście pożegnania, lecz zamiast pomachać wystawił środkowy palec. *Real art*, a nie żadne gównno! Co nie?